

Joanna Wyszomirska

Ziemia wolnych ludzi

INFONE

Joanna Wyszomirska

*Ziemia
wolnych
ludzi*

Wersja Demonstracyjna

INFONE sp. z o.o.

Poznań 2025

Joanna Wyszomirska
„Ziemia wolnych ludzi”

Copyright © Joanna Wyszomirska, 2025

Copyright © by INFONE sp. z o.o., 2025

Wszelkie prawa zastrzeżone.

**Żadna część niniejszej publikacji nie
może być reprodukowana, powielana i udostępniana
w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.**

Redakcja: Ryszard Oszmian

DTP: Błażej Golka

Skład ebook: epub, mobi: [Kamil Skitek](#)

Poznań, luty 2025

ISBN: 978-83-970142-5-1

INFONE

INFONE sp. z o.o.

ul. Woźna 9c/2, Poznań 61-777

To był pierwszy dzień dalszego życia Anny. Wszystko wydarzyło się tak niespodziewanie, że miała wrażenie, iż prowadzi ją jakaś niewidzialna ręka, a głos przeznaczenia podpowiada, co powinna robić. Pamiętała ten obraz bardzo dokładnie: ciepłe, letnie popołudnie, zwiewną, czerwoną sukienkę, która przyjemnie oblekała jej ciało, a nade wszystko nierzeczywistą atmosferę tego miejsca.

Doktora Szczepana spotkała wtedy po raz pierwszy. Urządził w swej urokliwej, wiejskiej posiadłości „święto natury”. Lekarz internista; przez lata ceniony i skuteczny, lecz obecnie wyklęty przez znaczną część środowiska. Jego niepoahamowana pasja do ziołolecznictwa, przysporzyła mu także grono wiernych wyznawców, co niemal śmiertelnych wrogów. Już wcześniej, z własnej woli zarzucił praktykę w publicznych placówkach, na rzecz przyjmowania pacjentów we własnym domu. Wielu kolegów po fachu zaczęło go traktować jak niebezpiecznego wywrotowca, byli też tacy, którzy uważali, że biedaczyna zwyczajnie zwariował. Dość powiedzieć, iż w szeregach trzymających się sztywnych metod leczenia medyków, nie było już dla niego miejsca.

Kilkudziesięcioosobowa grupa gości przyglądała się właśnie spoczywającym na długim, drewnianym stole ziołom i specyfikom, a doktor objaśniał działanie każdego z nich. Mniszek lekarski, który dla Anny zawsze był zwykłym, polnym mleczem, potrafił podobno pokonać nawet dziewięćdziesiąt osiem procent komórek nowotworowych,

na co gospodarz miał żywe dowody, w postaci swoich pacjentów.

Opowiadał o tym z błyskiem w oku i swadą, właściwą ludziom, którzy całkowicie wierzą w to, co robią. Anna słuchała z zainteresowaniem, konstatując, że odkąd tu jest, a więc mniej więcej od godziny, ani razu nie pomyślała o śmierci. To musiało coś znaczyć, gdyż ostatnimi czasy, idea samobójstwa towarzyszyła jej niemal bez przerwy. Czarna rozpacz po utracie męża, z czasem zmieniła się w szarą obojętność i właściwie dopiero dziś przypomniała sobie, że istnieją jakieś inne kolory.

— Dziękuję, że mnie tu zabrałaś. — zerknęła z wdzięcznością na Weronikę. Znała ją od ponad piętnastu lat i choć uważała, że przyjaciółka jest specyficzna, to doznając straty i osamotnienia, doceniła wreszcie kojącą moc tej relacji. Oderwanie od rzeczywistości, którym mimo dojrzałego wieku charakteryzowała się Weronika i które wcześniej trochę Annę konsternowało, nagle stało się czymś bardzo pożądanym. Szczególnie wówczas, gdy nie mogła już dłużej się oszukiwać i zaakceptowała smutną prawdę, że wszyscy inni ją zawiedli.

Weronika nie miała męża, dzieci, ani w ogóle żadnej rodziny, żywiła jednak platoniczne uczucie do lekarza o imieniu Tobiasz, który był bliskim przyjacielem ich dzisiejszego gospodarza. Pracowała u jego boku jako pielęgniarka, będąc jednak dla obiektu swoich westchnień jakby całkiem przezroczystą. Postanowiła zagryźć zęby i cierpliwie czekać na swoją szansę, na razie zaś korzystała

z innych przywilejów swego położenia, jakim był łatwy dostęp do przeróżnych medykamentów. Nieraz ratowała nimi Annę przed niechybnym obłądem, gdyż niepozorne, małe pastylki skutecznie otępiały umysł, a w większych dawkach, uniemożliwiały nawet podniesienie się z łóżka.

— Mówię ci. – Weronika ścisnęła przelotnie dłoń przyjaciółki – doktor Szczepan jest człowiekiem, którego potrzebujesz. Zaczekamy, aż inni goście się pożegnają, a wtedy opowiesz mu o swoich kłopotach. Niech trafi mnie tysiąc piorunów, jeśli mistrz taki jak on, nie będzie potrafił ci pomóc.

Gdy zaczęła się seria pytań oraz odpowiedzi, wycofały się z grupy uczestników i udały na taras, gdzie czekały przygotowane dla gości karafki wody z miętą, oraz talerze owsianych ciasteczek. Usiadły w zaskakująco wygodnych, wiklinowych fotelach, czekając aż lekarz odpowie na wszystkie, trapiące jego pacjentów dylematy.

— Naprawdę jest aż takim geniuszem? – spytała Anna, znając skłonność koleżanki do przesady.

— Sama się wkrótce przekonasz! Tobiasz jest pod jego absolutnym wrażeniem. Nieraz słyszałam jak opowiadał o cudach, których ten człowiek potrafi dokonać, przy pomocy kilku zaledwie ziół.

— A jednak twój wspaniały Tobiasz woli praktykować w tradycyjny sposób.

— Och, jako chirurg, nie ma specjalnego pola do popisu. Poza tym jest znacznie młodszy od doktora Szczepana, nie wiadomo więc, jak potoczy się w przyszłości jego kariera.

Gawędziły jakiś czas, delektując się poczęstunkiem i rozkoszując przyjemnym cieniem, jaki oferował porośnięty bluszczem ganek. Naraz dojrzały zmierzającego w ich kierunku gospodarza, który właśnie zdołał wyswobodzić się z trwającej nieznośnie długo pogawędki z dystyngowaną, starszą damą.

— Witam moje szanowne pacjentki! – rzekł szarmancko, pokonując zwinnie cztery kamienne schodki. – A w każdym razie jedną z nich. – spojrzał na Weronikę, dając do zrozumienia, że nie kojarzy towarzyszącej jej kobiety.

— Och, panie doktorze! To moja najdroższa przyjaciółka, Anna! – niemal wykrzyknęła, absolutnie podekscytowana Weronika.

— Jakże miło poznać. – pochwycił delikatnie dłoń Anny i złożył na niej ledwie wyczuwalny pocałunek. – Czyżby dołączyła pani do grona wielbicieli medycyny naturalnej?

— Prawdę mówiąc, dopiero poszukuję swojej drogi. Lecz przyjaciółka zapewnia, że powinnam oddać się w pana ręce.

— W takim razie należy posłuchać przyjaciółki. Cóż więc panią trapi?

— Dusza bardziej, niż ciało. – wyrwała się Weronika, fundując pozostałej dwójce krótką chwilę konsternacji.

— Ach tak? Proponuję zatem rozmowę w cztery oczy, na którą dziś niestety nie znajdę czasu. Oczekuje mnie przynajmniej kilkuosobowe grono pacjentów, a chciałbym wnikliwie przyjrzeć się pani problemowi. Czy możemy umówić się innym razem?

— Oczywiście. – przytaknęła pośpiesznie Anna.

— Myślę, że mógłbym wygospodarować kilkadziesiąt minut choćby jutro. Słyszac tę propozycję, natychmiast zakłatało jej w głowie, że będzie musiała jakoś dostać się na to odludzie, a poza tym właściwie nie zna tego człowieka. Miała już na końcu języka wymówkę o pilnych obowiązkach, lecz doktor jakby wyczuł jej intencje:

— Proponuję świeżo wyciskany sok warzywny w barze „Natura”, nieopodal centrum miasta. Wie pani, gdzie to?

— Owszem, znam to miejsce.

— Do jutra zatem. Będę czekał w samo południe.

Omiótł uprzejmym wzrokiem je obie, po czym płynnie pożeglował w kierunku trzyosobowej grupki mężczyzn.



Nazajutrz Anna szła na spotkanie z duszą na ramieniu, gdyż miała irracjonalne przeczucie, że po nim, nic już nie będzie takie samo. Doktor budził w niej mieszankę podziwu i lęku, a świadomość ta była samonapędzającym się kołem, wprowadzającym ją w jeszcze większą niepewność. Nie wiedziała, dlaczego tak się dzieje; jedyne czego oczekiwał jej świadomy umysł to to, że ów człowiek zdoła wyprowadzić ją ze ślepej, emocjonalnej uliczki. Tkwiła w niej od ponad roku i choć życie jako takie, prawie straciło dla niej wartość, to dopóki uczestniczyła w tym zbiorowym

balu, chciała znów być jego świadomą uczestniczką. Dzień był ciepły i słoneczny, włożyła więc ciemne okulary i słomkowy kapelusz, spod którego spływały pasma jej jasnych, długich włosów. Idąc w dół, wąską uliczką z kocich łbów, już z daleka dostrzegła doktora, siedzącego na ogródku

„Natury”. Przeglądał jakąś codzienną gazetę, a ona pomyślała, że to intrygująco niedzisiejszy widok. Zdziwiła się, że po wczorajszym, krótkim spotkaniu rozpoznała go ze znacznej odległości, jednak doktor miał w sobie coś, co wydawało jej się charakterystyczne. Może był to kształt głowy, lub twarzy, a może coś jeszcze innego, czego nie była w stanie od razu zdefiniować. Siedział tam zaczytany, w lekkim, lnianym garniturze, wyglądając niczym dystyngowany właściciel plantacji kawy, z początku ubiegłego wieku.

— Dzień dobry. – wyciągnęła rękę, stając nad nim i rzucając cień na twarz swego rozmówcy.

— O! – oderwał wzrok od gazety, sprawiając wrażenie nieco zaskoczonego. Annie przeszło przez myśl, że może zapomniał o ich spotkaniu, ale zaraz dotarło do niej, że w takim wypadku pewnie by tu nie czekał. Człowiek taki, jak on raczej nie narzeka na brak zajęć i musi zręcznie dysponować swoim czasem.

— Już pani jest. Proszę spocząć. – wskazał jej gestem miejsce.

Stolik był okrągły, co stworzyło możliwość zajęcia pozycji nie zupełnie naprzeciwko, ale też nie całkiem obok. Usiadła

po prawicy doktora, jakieś pół metra od niego, co oferowało wrażenie mniejszej formalności spotkania.

— Zamówię dla pani sok warzywny, który jest specjalnością zakładu. – rzekł, nie bawiąc się w pytania, na co miałyby ochotę.

Zgodziła się grzecznym skinieniem głowy, gdyż naprawdę było jej wszystko jedno, co za chwilę pojawi się przed nią na stole. Kiedy młody kelner przyniósł zamówienie, doktor poprosił o wyregulowanie dużego parasola tak, aby dobrze osłonił ich twarze, ponieważ słońce stało właśnie w zenicie. Gdy wreszcie wszystko było po jego myśli, zdjął przeciwsłoneczne okulary i polecił Annie zrobić to samo. Wyciągnął z kieszeni marynarki jakby mini latarkę i poprosił:

— Proszę patrzeć przed siebie i przez chwilę nie mrugać.

Wykonała polecenie, z lekkim wysiłkiem, gdyż nagła jasność sprawiła, że jej oczy chciały natychmiast wykonać serię szybkich drgań. W ostatniej chwili udało jej się opanować łzawienie, które zniweczyłoby makijaż, zrobiony z poczucia powinności, dziś rano.

— No tak. – rzekł, chowając swój przyrząd do kieszeni i upijając spory łyk zielonego soku. Ma pani problemy z tarczą?

— Nie. A w każdym razie nic mi na ten temat nie wiadomo.

— Więc zażywa pani leki psychotropowe.

Anna spuściła głowę, niczym złodziej przyłapany na gorącym uczynku, jednak już po chwili uznała, że nie będzie wstydić się tego, co jest niezaprzeczalnym faktem.

— Tak. – utkwiała wzrok w twarzy doktora i przez kilka sekund patrzyli na siebie.

Pomyślała, że mężczyzna ów, ma głębokie uczciwe spojrzenie. Jego oczy były ciemne i przystojne, dość mocno kontrastując z solidnie przyprószonym siwizną zarostem. Szybko doszła do wniosku, że musi liczyć sobie więcej niż pięćdziesiąt wiosen, choć pewnie mniej niż sześćdziesiąt. Z pewnością nie był jeszcze starcem, lecz emanowała z niego jakaś ogromna dojrzałość co, w połączeniu z lekko kulistą sylwetką, przydawało mu lat.

— Skąd taka decyzja? – zapytał po chwili rzeczowo.

— Nic innego mi nie pomagało.

— A czego pani próbowała? Ziołolecznictwo, terapia, może medytacja? Annie zrobiło się wstyd, gdyż właśnie uświadomiła sobie, że nie chciała ratować się w żaden inny sposób. Wiedziała jednak, że w kontaktach z siedzącym obok niej człowiekiem, powinna postawić na szczerość:

— Niczego.

Pokiwał głową, jakby był świadkiem takiej postawy już wcześniej, jakieś miliony razy. Ludziom, proszącym o pomoc, wydaje się że dali z siebie ogromnie dużo i wyczerpali wszelkie możliwe środki, podczas gdy większość z nich ograniczyła się do pójścia po linii najmniejszego oporu.

- Skąd wzięły się pani problemy?
- Rok temu straciłam męża.
- Jak to się stało? – spytał, niezbyt poruszony tą informacją.
- Ofiara systemu, wyrzuciła z siebie bez zastanowienia, lecz zaraz skonstatowała, że nie zna poglądów lekarza i może należało wyrazić się bardziej oględnie.
- Powikłania po preparacie, który – o ironio miał zapewnić mu zdrowie i odporność.
- Cóż... – doktor spojrzał na nią ze spokojem, w którym próżno było doszukiwać się choćby cienia współczucia. – Tyleż tragiczne, co powszechne. Szczególnie ostatnimi czasy. Pani organizm także nosi w sobie tę bombę zegarową?
- Nie. – potrząsnęła szybko głową. – Szczepienia to był wymóg korporacji, w której pracował.
- W takim razie jest nadzieja. – pozwolił sobie na uśmiech, a Anna odwdzieczyła się tym samym, choć nie czuła wesołości, ani nawet swobody. Przez kolejnych dziesięć minut, doktor starał się wyjaśnić jej zasady działania ludzkiego układu nerwowego, jak i organizmu w ogóle, a także rzucić światło na nieograniczoną moc natury, o której dzisiejszy świat celowo zapomniał. Musiała przyznać, że wszystko to brzmiało wiarygodnie i całkiem logicznie, a poza tym wcale nie musiała wierzyć mu na słowo. Była wczoraj świadkiem niejednej niesamowitej

opowieści, a ludzie którzy raczyli obecnych swoimi historiami, bynajmniej nie wyglądali na opętanych.

— Proszę podać mi rękę. – powiedział niespodziewanie, a gdy Anna wykonała polecenie, poinformował, że jej puls jest nienaturalnie szybki.

— To może być oczywiście wynik stresu, ale także choroby serca, anemii lub nadużywania nikotyny.

— Nigdy nie paliłam.

— Tym lepiej.

Potał dłońią czoło i zamyślił się, po czym rzekł:

— Proszę zrobić jutro z rana podstawowe badania krwi i przesać mi wyniki. Rozpiszę dla pani plan leczenia. Po mniej więcej miesiącu, powinna być już znaczna poprawa. Jeśli zdarzy się inaczej, potrzebne będą bardziej szczegółowe badania, ale raczej wykluczam poważniejsze dolegliwości fizyczne.

— Rozumiem, dziękuję doktorze. Kiedy zatem znów się spotkamy?

— Jak najszybciej, choć w najbliższych dniach raczej nie będzie mnie w mieście. Chyba, że pofatyguje się pani do mnie, na wieś?

— Sprzedałam samochód i mogłabym mieć pewien problem z dotarciem...

— Dobrze. przerwał jej, domyślając się finału tej wypowiedzi. – W czwartek przekażę paczkę doktorowi Tobiaszowi, od którego odbierze ją pani przyjaciółka. Będą

tam wszystkie niezbędne medykamenty, a także instrukcja ich zażywania.

— Jeszcze raz ogromnie dziękuję. Ile jestem winna?

— Gdy tylko zauważy pani poprawę, proszę niezwłocznie dać mi znać. Wtedy wycenię swoją pracę i postaram się zarazić panią pasją do nowego stylu życia.

Zamierzała zaprotestować i nakłonić doktora do rozliczenia się już teraz, jednak ten, energicznie poderwał się, postukał palcem w tarczę zegarka i zakomunikował, że już jest spóźniony w kolejne miejsce.

— Czekam na telefon. – oznajmił na odchodne, kładąc na stole swoją wizytówkę.



Anna nie była pewna, czy to moc autosugestii, czy może doktor Szczepan jest zakonspirowanym czarodziejem, ponieważ już po tygodniu zalecanej przez niego terapii, odczuła ogromną zmianę. Wstawała lekko i bez wysiłku, w ciągu dnia z rzadka towarzyszyły jej złe myśli, a apetyt wrócił prawie do poprzedniego poziomu. Czuła się nie tylko wyleczona, ale też pełna energii i nadziei na przyszłość. Kilkukrotnie wystukiwała w telefonie numer swojego dobroczyńcy, by wylewnie mu podziękować, jednak postanowiła odczekać przynajmniej dwa tygodnie. Wciąż nie dowierzała, że zdołała na dobre wydostać się z wielkiej,

czarnej otchłani, w której bezradnie tkwiła przez tak długi czas. Nadszedł jednak dzień, w którym nie chciała zwlekać ani chwili dłużej, dlatego tuż po dziesiątej rano, wybrała jego numer. Po kilku sygnałach, usłyszała w słuchawce znajomy, trochę nosowy głos. Przedstawiła się, informując pospiesznie że terapia działa znakomicie, po czym spytała o możliwość jak najszybszego spotkania.

— Jutro, tam gdzie zwykle, o tej samej porze. – rzucił szorstko lekarz.

Stała jeszcze przez moment z telefonem w dłoni, zdziwiona i nieco zawiedziona jego obcesowym zachowaniem. Była pewna, że medyk ucieszy się z dobrych wieści, lecz Weronika już wcześniej ostrzegła iż mistrz bywa chłodny w obejściu, bez żadnego, konkretnego powodu.

Na spotkanie dotarła nieco przed czasem, a jej ręce lekko drżały z ekscytacji. Żeby sprawić mu przyjemność, zamówiła ten sam sok, który wybrał dla niej ostatnio, upiła niewielki łyk i – by zabić czas – zaczęła przeglądać wciąż leżące na stole menu.

Dzień nie był tak ciepły i pogodny, jak za pierwszym razem, jednak aura wciąż zachęcała do zajęcia miejsca na świeżym powietrzu.

— Przepraszam za spóźnienie. – chwilę później jego sylwetka zmaterializowała się nagle, tuż obok.

Wyglądał, jakby ubierał się w pośpiechu; miał na sobie kraciatą marynarkę, która nie pasowała do koszuli w kropki, jednak dla Anny były to nic nieznaczące drobiazgi.

— Dzień dobry. – poderwała się z krzesła, a jej twarz rozświetlił szczery uśmiech.

— Proszę o sok z jarmużu. – rzucił doktor w kierunku zbliżającego się kelnera, a następnie usiadł i skupił uwagę na swojej pacjentce. A więc poprawa.

— Poprawa? To mało powiedziane. Dostałam dzięki panu drugie życie. Gdyby ktoś powiedział mi dwa tygodnie temu, że będę czuła się tak jak obecnie, nie uwierzyłabym.

— Zawsze powtarzam, że natura ma odpowiedź na każdą dolegliwość, sęk w tym, że prawie nikt nie chce słuchać.

— Odtąd będę słuchała wyłącznie pana. A przy okazji: powinniśmy się wreszcie rozliczyć. – sięgnęła do wiszącej na oparciu krzesła torebki.

— Proszę zaczekać. – doktor powstrzymał ją gestem dłoni. Mam wiadomość, która może wydać się pani zła.

Anna nie tak wyobrażała sobie przebieg tego spotkania. Była pewna, że jej wybawca okaże znacznie więcej entuzjazmu i będzie miał do niej szereg pytań. Tymczasem od początku sprawiał wrażenie, jakby zajmowało go coś zupełnie innego.

— Nie chcę żadnych złych wiadomości. Nie od pana.

— Cóż, decyzja już zapadła, ja jedynie mogę panią o niej poinformować. – rozłożył teatralnie ręce, a w geście tym odczytała potrzebę swego rodzaju uwagi.

— Zatem słucham.

— W przyszłym miesiącu wyjeżdżam na stałe poza granice kraju.

Patrzała na niego, nie bardzo wiedząc, co począć z tą nowiną. Nawet jeśli nie będzie mieszkał w pobliżu, to w dobie internetu, chyba mogą pozostać w kontakcie, wystarczającym do dalszego prowadzenia jej przypadku.

— Sprawy zawodowe? – spytała.

— Dużo istotniejsze. Sprawy ważne, najważniejsze; rzekłbym fundamentalne.

— Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem.

— Czy podoba się pani kierunek, w jakim zmierza świat?
– rzucił filozoficznie i nie czekając na odpowiedź ją kontynuować. – Myśli pani, że tak właśnie powinni żyć ludzie? Inwigilowani, bez możliwości decydowania o swoim zdrowiu, pieniądzech, autorytetach?

— Nie, na pewno nie. – potrasnęła głową, czując, że temat zaczyna ją interesować.

— Otóż to. Sama pani doświadczyła mentalnej przemocy, której dopuszczają się ludzie u sterów władzy, wobec takich jak my. Pani mąż przypłacił to życiem, pani sama zdrowiem. A to dopiero początek i mogę zapewnić, że lepiej nie będzie.

— Ale w jaki sposób moglibyśmy temu zaradzić? – spytała, trochę naiwnie, łudząc się, że siedzący naprzeciw mężczyzna ma receptę na absolutnie każdą bolączkę.

— Zamierzam wysiąść z tego pociągu.

Uśmiechnęła się pobłaźliwie, bo choć zabrzmiało to romantycznie, nie miała pojęcia, jak w praktyce miałyby to

wyglądać. Chciała coś powiedzieć, lecz doktor ją uprzedził.

— Zakładam w Afryce kolonię, nazwijmy to, wolnych ludzi. Około setki osób; to optymalna liczba na początek. Są wśród nich lekarze, nauczyciele, kucharze, sportowcy, pracownicy fizyczni, ogrodnicy, prawie cały przekrój społeczeństwa. Dobierałem ich przez niemal rok, starając się wyeliminować czynniki niepotrzebnego ryzyka, oraz stworzyć silny pod każdym względem zespół. Wiele nas łączy; przede wszystkim jednak rozwinięta świadomość, chęć wyzwolenia się spod jarzma i potrzeba rozpoczęcia nowego życia. Poza systemem, poza całym tym obłudem.

Wpatrywała się w niego zdumiona, a w jej głowie kłębiło się co najmniej kilka pytań. Gdzie będą mieszkać? Z czego żyć? I dlaczego owa kolonia ma powstać akurat w Afryce.

— Chce pani poznać szczegóły? – odgadł jej wątpliwości.

— Oczywiście. I to bardzo.

— W miejscu, o którym mówię jest farma, a na niej rozległy, nadający się do zamieszkania budynek. Otacza go roślinność i wielkie przestrzenie żyznej ziemi. Są studnie z czystą wodą, kanalizacja, a nawet elektryczność. Miał tam powstać luksusowy hotel dla tych, którzy marzyli by spędzić czas blisko natury, z dala od wielkich miast i pleniącej się przestępczości. Najbliższa miejscowość znajduje się około trzydziestu kilometrów na północ, ale nie będziemy musieli zbyt często do niej zaglądać. Zabierzemy ze sobą wszystko, co potrzebne na początek: ubrania, żywność, zioła, lekarstwa, książki, narzędzia. Na miejscu zakupimy bydło, które zaczniemy hodować, a także potrzebne sadzonki

roślin. Stworzymy świat, w którym walutą jest przydatność społeczna, a nie pieniądze; bez podziału na lepszych i gorszych, bez trucia naszych organizmów chemią. Każdy będzie wnosił do tej wspólnoty wkład własną pracą; jedni zajmą się nauczaniem, drudzy leczeniem, trzeci budowaniem, jeszcze inni zaś będą uprawiać i hodować.

Anna próbowała na szybko ocenić, czy to, co właśnie słyszy jest prawdą, czy też doktor z jakiegoś powodu, postanowił zabawić się jej kosztem.

— To brzmi naprawdę pięknie. – rzekła. – Ale nie wydaje się realne.

— Dlaczego? – podparł się pod brodę, świdrując ją swymi ciemnymi oczami.

— Bo to niemożliwe do osiągnięcia.

— Dlaczego? – powtórzył.

— Ja...nie wiem... Tak po prostu myślę.

— Proszę więc przekonać się na własne oczy, że to absolutnie możliwe.

— Proponuje mi pan dołączenie do tej eskapady?

— Owszem. Chyba, że ma pani tak udane życie iż nie zaryzykuje żadnej zmiany.

— To...dość fundamentalna zmiana.

— Takie mają największe szanse powodzenia.

— Myśli pan? A do czego teoretycznie mogłabym się przydać?

— Potrafi pani gotować? Albo uczyć dzieci liczyć i pisać? Opiekować się chorymi? A może sprzątać, lub hodować

rośliny? Wybór jest naprawdę szeroki.

Anna przyznała w duchu, że istotnie nie musiałyby wykazać się niczym nadzwyczajnym, a jej życie tutaj dalekie jest od ideału.

— Nie wkręca mnie pan? – spytała jeszcze asekuracyjnie.

— Moje poczucie humoru bywa wprawdzie specyficzne, ale zapewniam panią, że nie aż tak.

— Do kiedy muszę podjąć decyzję?

— W ciągu kilku najbliższych dni.

— Rozumiem. Ciekawi mnie jeszcze jedno, choć to pewnie nie moja sprawa. Ów dom i ziemia są pana własnością?

Zdawała sobie sprawę z pewnej impertynencji czającej się w tym pytaniu, jednak wolała mieć pewność, że za miesiąc, dwa, lub trzy, nikt nie zechce się ich stamtąd pozbyć. Skoro ma w ogóle rozważyć podróż w nieznane, tego typu szczegóły wydały jej się nader istotne.

— Proszę mi zaufać, wszystko precyzyjnie zorganizowałem. – odpowiedział wymijająco, po czym niespodziewanie podniósł się z krzesła. Przepraszam, ale muszę już biec dalej.

Musnął ustami jej dłoń, lecz zanim na dobre się oddalił, zawołał:

— Będę czekał na odpowiedź.

*

Dwa tygodnie później wielka wyprawa stała się faktem, a Anna postanowiła postawić wszystko na jedną kartę. Kiedy poinformowała telefonicznie doktora, że przyjmuje jego propozycję, odniosła wrażenie iż naprawdę się ucieszył. Pogratulował jej odważnej decyzji i przekazał niezbędne informacje, a ona zaczęła odliczać dni do wyjazdu, niczym dziecko które wyczekuje upragnionych wakacji. Poważne wątpliwości dopadły ją dopiero w owym dniu, lecz i tak było już za późno, żeby się wycofać.

W trakcie całej podróży; najpierw samolotem, a następnie specjalnie wynajętym karawanem autokarów, rozmyślała nad ogromną skalą tego przedsięwzięcia. Był to oczywisty wysiłek nie tylko logistyczny, lecz również finansowy i miała nadzieję, że doktor nie okaże się mitomanem, czy niepoczytalnym szaleńcem. Była pod wrażeniem jego wiedzy, odwagi i charyzmy, jednak za słabo go znała, by ręczyć za ten projekt. Wiedziała doskonale, że czasem geniusz od szaleństwa dzieli bardzo cienka linia.

Gdy, po wielu godzinach tułaczki, dotarli wreszcie na miejsce, poczuła ogromną ulgę. Taksowała wzrokiem otoczenie, które na pierwszy rzut oka, zdawało się być dokładnie takie, jakim przedstawiał je Szczepan. Na teren farmy wjechali przez wielką, dwuskrzydłową bramę z kutego żelaza, a ubita, niezbyt szeroka droga prowadziła pod sam budynek. Jednopiętrowa, ułożona w literę „L” budowla, przyciągała wzrok ciemnoczerwoną dachówką, która mocno kontrastowała z gładkim, idealnie białym tynkiem. Wszędzie

rosły wysokie nawet na trzy metry palmy daktylowe, a bliżej podłoża ścieliły się krzewiaste, niezwykle bujne zarośla. Teren był tak rozległy, że nie sposób było oszacować wzrokiem, gdzie właściwie kończy się farma.

— A oto nasze miejsce na ziemi! – doktor wyskoczył żwawo z autokaru, nie kryjąc podekscytowania.

Pozostali wysiadali trochę niepewnie, zmordowani nieznośnie długą podróżą; jedni uśmiechnięci, inni powściągliwi, lecz wszyscy z poczuciem, że rozpoczynają zupełnie nowy rozdział życia. Mniejsze dzieci piszczały z zachwytu, wyczuwając atmosferę wielkiej przygody i obserwując z otwartymi ustami odmienne od dotychczasowych, krajobrazy.

Od początku oczywistym było, że setka osób nie zdoła znaleźć lokum w głównym budynku, dlatego większość zabrała ze sobą namioty i śpiwory. Były one niezbędne do czasu zbudowania kompleksu małych bungalowów. Zdaniem, należących do grupy budowlańców, zadanie było stosunkowo proste, choć oczywiście wymagało poświęcenia mu odpowiedniej ilości czasu. Uznali, że wzniosą chatki z umocnionej tynkiem gliny, a wykończą je strzechą z liści, oraz słomy.

Kiedy Anna, jakiś czas później, wspominała te pierwsze dni, zawsze dochodziła do wniosku, że każdy z nich wykazał się nie tylko odwagą, ale też ogromną determinacją. Ciężko było uwierzyć iż ten wielki, trochę dziki teren, zmieni się tak szybko, a jednak, niemożliwe stało się faktem. Bungalowy powstały w ciągu pierwszego miesiąca, co osadnicy przyjęli

z niekrywaną ulgą. Dla wszystkich był to czas wyętej pracy, gdyż zarówno ziemia jak i główny budynek wymagały wielu udoskonaleń. W ogrodzie karczowano specjalne ścieżki, przygotowywano pola do wysiewu, wznoszono pomieszczenia dla ptactwa, oraz bydła. Wnętrza niedoszę hotelu wymagały wielu godzin solidnego wietrzenia, ściany odświeżenia, a podłogi kilkukrotnego, starannego czyszczenia. W przestronnym pomieszczeniu na parterze urządzono wspólną jadalnię, a w kolejnym klasę do nauki i innych zajęć dla dzieci. Na dole znajdowała się również kuchnia i suszarnia, a w podziemiach, sporych rozmiarów piwnica. Doktor od razu uznał, że będzie tam trzymał niektóre zioła i mikstury, a także produkował swoje słynne, naturalne nalewki.

Piętro przeznaczono do zamieszkania, gdyż składało się ono z dwudziestu pokoi wyposażonych w łazienki. Annie udało się zająć jedną z takich kwater, prawdopodobnie dlatego, że oprócz podjęcia się misji nauczania, przyjęła także propozycję medyka. Pewnego dnia oznajmił, że potrzebuje skrupulatnej osoby, zdolnej robić stosowne notatki, trzymać w ładzie dokumentację, a nieraz także towarzyszyć mu w procesie tworzenia. Uznała, że poradzi sobie w roli asystentki, a poza tym odmowa wydawała jej się całkowicie niedopuszczalna. Szczepan cieszył się w społeczności ogromnym szacunkiem i estymą, a ludzie postrzegali go nie tylko jako wizjonera, ale wręcz cudotwórcę. Wielu z mieszkańców obozu stanowili jego pacjenci, choć było też grono osób, które wcześniej nie

miały z nim styczności. Od początku stał się jednak niekwestionowanym liderem, a jego pozycja była niezwykle silna.

Pokoje, które zajęło grono szczęśliwców, pozbawione były wprawdzie luksusów, a na ich wyposażenie składało się jedynie łóżko z moskitierą, drewniana komoda, szafa, oraz nocna lampka; mimo to oferowały znacznie większy komfort, niż bungalowy. Wśród uczestników projektu nie brakło jednak amatorów prostoty i życia tak blisko natury, jak to tylko możliwe, więc nikt nie miał powodu czuć się poszkodowany. Poza tym, codziennych zajęć było tak wiele, że czas spędzany w prywatnych kwaterach, należał do rzadkości. W tych krótkich chwilach, Anna uwielbiała patrzeć przez okno, z którego rozpościerał się widok na malownicze, pokryte strzechą domki, tańczące na wietrze palmy i wielokolorowe przestrzenie, ciągnące się aż po horyzont.

Nie miała tu na razie zbyt wielu znajomych, tym szczerzej błogosławiła fakt, że na tę niecodzienną przygodę zdecydowała się również Weronika. Jako wykwalifikowana pielęgniarka, była bardzo pożądanym członkiem społeczności, choć do wyjazdu ostatecznie przekonało ją uczestnictwo w całym projekcie doktora Tobiasza. Przystojny chirurg podobno dał się namówić niemal w ostatniej chwili, pozostawiając sobie możliwość powrotu do kraju, w dowolnym momencie. Choć ogólna, niepisana zasada brzmiała, że jest to podróż w jedną stronę, to w przypadku swego przyjaciela, doktor skłonny był zrobić wyjątek.

Po tygodniach wytężonej pracy, zdołano przysposobić nowe miejsce do całkiem komfortowego życia i rozpoczęto organizację poszczególnych zespołów, co miało na celu usystematyzowanie dnia codziennego w obozie. Doktor Szczepan zwołał w tym celu naradę, która odbyła się w jadalni, jako największym dostępnym pomieszczeniu. Również o godzinie dziewiętnastej, uczestnicy szczerze wypełnili salę.

— Czy mogłabyś, Anno, robić notatki z naszego spotkania? – poprosił chwilę wcześniej, sugerując jednocześnie, by usiadła wraz z nim przy frontowym stole. Zgodziła się bez wahania, mając poczucie sporego wyróżnienia. Mimo, że już wcześniej mianował ją swoją prawą ręką, to dotąd, z powodu nawału pracy, nie miała zbyt wielu okazji, by towarzyszyć mistrzowi w jego zajęciach.

Podczas, trwającego prawie dwie godziny zebrania zdecydowano, że nauką dzieci do lat dziesięciu zajmie się Anna, oraz młoda kobieta imieniem Natalia, która posiadała stosowne wykształcenie. Ustaliły, że jutro omówią w cztery oczy szczegóły swojej misji, już na wstępie zakładając chęć skupienia się na jak najbardziej praktycznym aspekcie programu. Dzieci musiały naturalnie umieć pisać, czytać oraz liczyć, ale także mieć możliwość rozwijania indywidualnych zdolności i zainteresowań.

Przystojny, na oko trzydziestokilkuletni mężczyzna, podjął się prowadzenia zajęć ze sztuk walki z grupą chętnych chłopców. Brazylijskie jiu-jitsu miało na celu nauczyć ich jak

za pomocą prostych chwytów zatrzymać agresję przeciwnika, a także wpoić pokorę i szacunek względem osób wyższych stopniem.

Opieką nad zdrowiem tubylców mieli naturalnie zająć się obecni lekarze i pielęgniarki, wyłuskano też amatorów uprawy roślin, hodowli zwierząt, oraz gotowania. Dotąd odbywało się ono w raczej spartańskich warunkach; ludzie przygotowywali posiłki indywidualnie i o najróżniejszych porach, co prowadziło do sporego chaosu. Serwowanie jedzenia takiej ilości osób było nie lada wyzwaniem, dlatego w kuchni „zatrudniono” najwięcej chętnych, a zasiadanie do stołu miało odbywać się w systemie dwuzmianowym.

Część obowiązków pozostała oczywiście wymienna, by w przypadku choroby lub niedyspozycji kogokolwiek, z powodzeniem mógł go zastąpić ktoś inny. Szczepan zaproponował, ażeby posiłkom towarzyszyła każdorazowo spokojna muzyka, a gwar i niepotrzebne rozmowy ograniczyć do minimum. Uważał, że wpłynie to korzystnie na trawienie, a także sprawi, że wspólne zasiadanie do stołu będzie prawdziwą ucztą i chwilą wytchnienia w ciągu dnia. Sala zdawała się być entuzjastycznie nastawiona do tego pomysłu, choć jak będzie on wyglądał w praktyce, na razie trudno było odgadnąć. Tak czy owak, doktor obiecał udostępnić ze swojej bogatej kolekcji płyt, muzykę z gatunku chillout, czy smooth jazz.

Po skończonym zebraniu, brać jęła żwawo rozchodzić się w znanych sobie kierunkach, także dlatego, że w sali zdążyła już zapanować trudna do zniesienia duchota. Anna

również zamierzała udać się na górę, bo wiedziała, że następnego ranka czekają na nią kolejne wyzwania. Nim jednak to zrobiła, spisała na czysto wszystkie punkty spotkania, by przedłożyć doktorowi łatwy do rozszyfrowania i schludny rękopis.

— Pora kończyć na dziś. – oparł się o stolik, w momencie gdy zaczynała przepisywanie.

— Oczywiście doktorze, za chwilę dam panu całe sprawozdanie.

— Przynieś mi je proszę do pokoju. Muszę iść na górę, bo w przeciwnym razie za chwilę umrę z pragnienia.

Uśmiechnęła się, dając do zrozumienia, że postąpi zgodnie z jego prośbą. Kilkanaście minut później skończyła pracę, ustawiła równo krzesła w jadalni, zgasiła światło i udała się na piętro. Pokój, a właściwie apartament doktora znajdował się na samym końcu korytarza i składał z dwóch pomieszczeń, oraz łazienki. Podobnie jak w innych, i tu nie było wielkich luksusów, jednak gabaryty kwatery pozwalały na pewną swobodę. Szczepan wydzielił część dzienną, gdzie pracował i przyjmował gości, a także sypialnię, w której spał. Jego łóżko było większe, bo dwuosobowe, a na ścianach stał dodatkowo duży regał, po brzegi wypełniony książkami. Anna weszła po schodach i zapukała cicho:

— Proszę! – usłyszała niemal od razu, nacisnęła więc klamkę i stanęła w progu.

— Sprawozdanie. – podała kartki doktorowi, zamierzając od razu się wycofać.

— Wejź na chwilę. – wskazał miejsce na niewielkiej kanapie, podając jej jednocześnie filiżankę jakiegoś ciepłego naparu.

— Dziękuję. Co to?

— Będziesz po tym lepiej spała.

Upiła łyk i uznała, że jak większość ziół, i te smakują nieszczególnie; na szczęście naczynie nie mieściło w sobie zbyt dużej ilości specyficznego płynu.

— No więc Anno, jakie są twoje wrażenia po pierwszym miesiącu pobytu? Spojrzała na niego z lekkim zdziwieniem, spodziewając się raczej kolejnych zadań, które medyk zechce jej przydzielić.

— Cóż... Prawdę mówiąc, jestem tak zajęta, że nie zastanawiałam się nad tym głębiej.

— Rozumiem. Ujmę to zatem trochę inaczej: czy nie żałujesz, że zdecydowałaś się tu przyjechać?

Doktor już jakiś czas temu zaczął zwracać się do niej po imieniu, nie pytając o zgodę, jednak Anna była mu za to wdzięczna. Uważała, że tak będzie prościej, a poza tym, musiał być kilkanaście lat starszy od niej, miał więc prawo do takiej śmiałości.

— Nie doktorze, nie żałuję. – uśmiechnęła się. – Myślę, że sytuacja rozwija się całkiem obiecująco i prawdę mówiąc, wcale nie brakuje mi dawnego życia.

— To dobrze. To bardzo dobrze. – pokiwał z zadowoleniem głową. Gdybyś chciała skonsultować jakieś kwestie odnośnie edukacji dzieci, jestem do twojej dyspozycji. To co prawda

nie mój fach, ale myślę że z racji doświadczenia, mógłbym okazać się pomocny.

— Oczywiście, doktorze. – rzekła uprzejmie, pragnąc jak najszybciej znaleźć się we własnym pokoju.

Choć lubiła pogawędki z tym człowiekiem i czuła w jego obecności znacznie mniejszą krępującą niż na początku, to w tym momencie pragnęła jedynie odprężającej kąpieli, oraz snu.

— Jesteś zmęczona. – domyślił się.

— Odrobinę.

— Zatem dobranoc, do jutra.

Wstała z kanapy, a doktor odprowadził ją do drzwi, które chwilę później cicho za nią zamknął.



Zasnęła snem tak kamiennym, że nie usłyszała dzwoniącego o siódmej rano budzika. Wieczorna mikstura, jak wszystko co serwował doktor, okazała się niezwykle skuteczna. Schodząc w pośpiechu na śniadanie dla drugiej tury, najpierw usłyszała spore zamieszanie w holu, a później zobaczyła składającą się z kilkunastu osób kolejkę. Przed dużym, oprawionym w złotą ramę lustrem, siedział Szczepan, a jakaś kobieta zabierała się właśnie za strzyżenie jego włosów. Reszta obecnych cierpliwie czekała, umilając sobie czas żartami i anegdotkami z bieżącego życia na farmie.

— Dzień dobry. – podeszła, pozdrawiając kilka osób na raz.

— Witaj. Dobrze, że mamy tu kogoś, kto zadba o nasze fryzury. – medyk wskazał na kobietę w średnim wieku, przedstawiając ją jako Marię.

— Wspaniale. – uśmiechnęła się Anna. I ja będę musiała się umówić; choćby na zwykłe podcięcie. – rzekła, a nowa znajoma zapewniła, że w każdej chwili jest do dyspozycji.

— Dziękuję. A jeśli chodzi o doktora, to myślę, że nie za krótko. Można odważniej podciąć boki, góra natomiast powinna zostać nieco dłuższa. Fryzjerka spojrzała na swojego klienta, oczekując potwierdzenia. Ten uśmiechnął się, rozłożył ręce i rzekł:

— Skoro tak twierdzi moja asystentka, to nie mamy wyboru.

Wchodząc na stołówkę, od razu podeszła do długich stołów, wypełnionych urozmaiconym jedzeniem i nałożyła na talerz co smakowiciej wyglądające kąski. Zastanawiała się przez chwilę, gdzie usiąść. Szukała wzrokiem Weroniki, lecz przyjaciółka najwyraźniej dotarła tu wcześniej, bo nigdzie jej nie było. Nie zauważyła również doktora Tobiasza i była niemal pewna, że Weronika zadbała o to, by zjedli śniadanie wspólnie. W końcu postawiła talerz przy pierwszym, wolnym miejscu, siadając obok znajomo wyglądającego mężczyzny. Widywała go już wcześniej, lecz teraz skojarzyła, że to on podczas wczorajszego zebrania zgłosił się do prowadzenia chłopięcej grupy sportowej. Był w towarzystwie młodej, drobnej brunetki, zapewne żony,

Koniec Wersji Demonstracyjnej